№ VII. Cena 2 m.

Łazik



OD PRADZIADÓW NASZYCH CZYŻ MY COŚ GORSZEGO?
CZYŻ NIE BĘDZIEM MIELI SWEGO GŁOWACKIEGO?

J A K W T E D Y.

Hej roją się drogi, bielą się sukmany
„Do boju nas wzywa Naczelnik kochany!
Moskala bić kazał dzielny pan Kościuszko,
Na bok tera miska, pierzyna i łóżko!

Dyć nie płaczta, głupie, wrócimy, wrócimy!
Jak kapusty głów ruskich wam naznosimy
Siedzieć baby doma, patrzeć gospodarki,
Bo chłop pójdzie kuździe co mocny i szparki!"

Skrzą się w słońcu kosy, bielą się sukmany:
Moskali bić kazał Naczelnik kochany—
Idą. A kto wiedzie ten pułk zawadjacki?
Krew z krwi ich, kość z kości—Hej,Bartos Głowacki!

Chłop, z dziada pradziada osiadły na roli,
Zrozumiał co kańczug moskiewski, jak boli,
Zrozumiał że grozi tej ziemi zagłada.
Że czyha niewola i hańba się skrada...

Pogłaskał po główkach dzieciątka swe bose,
Ścisnął babę, sztorcem w mig osadził kosę,
Zaklął: „Psiokrew, wydrzeć chcesz nom tę ziemicę?
Zgiń psubracie! Chłopcy, marsz na Racławice!"

Runęła brać chłopska, bielą się sukmany,
Hej, bić się potrafim nie gorzej jak pany!
Królewska gra w każdym krew Piastów, jak żywa,
Hejże na Moskala! Ojczyzna nas wzywa!

— — — — — — — — — — —

Tak było lat temu blizko półtorasta.
Na postać olbrzyma dziś chłop ten urasta,
Wiek o nim śpiewają piosneczki i pieśnie,
Toć żywy był przecie, nie z bajki, nie we śnie...

— — — — — — — — — — —

Dziś cudem powstałej znów grozi nawała
Ach, dzika, krwiożercza... Więc stańmy jak skała,
A toć rąk nam nie brak Panie Boże Święty,
Cóż to? Ino mają iść inteligenty?

Wstyd chłopu, co głowę pod pierzynę chowa,
A toć Polska tera nasza jest, ludowa,
Chłop tera pan wolny—nie pies pańszczyźniany,
Komuż, tedy, bronić tej ziemi kochanej?

A nie pójdziem przeciw bolszewickiej hordzie—
To nas komisary prać będą po mordzie,
Za polski nas pacierz zdławi czrezwyczajka,
Dzieci w szkole uczyć nam będzie nahajka!

Pola nam stratują, zryją ziemię czarną,
Dla Moskwy zrabują złote polskie ziarno
Naszym potem zlane! Cóż to, do cholery —
Sprawiedliwie gadam—jak dwa a dwa cztery!

Dalej Józek, Wawrzon, Stach, Pietrek i Jasiek!
Baby zetną jęczmień i zwiozą do zasiek,
Od chłopa pradziada cóż to my gorszego?
I my mieć będziemy swego Głowackiego!

Kto stanie doma hańbę, psiakrew, zyska!
Ady nie ryc Maryś, przytul się, daj pyska
Czekać? Nie. Ostatni czas—czekoć nie mogę
Tłumok z obleczeniem, chleba daj na drogę!

Cichaj! Chcesz by z tobą zbój hulał jak hula
Juz w Litwie z babami? Psiakrew. Ot mu kula!
Z Bogiem ostań Maryś i dziecki i chata...
Z Bogiem zwyciężymy!
Hejże na psubrata!

W. St. Płomieńczyk.

T O A S T.

Polska nasza ludna, liczna,
Ma urzędy, ma kolegja,
Lecz najmilsza, jak maj śliczna,
Jest wojskowa kobiet legja.

Odpowiednia Marsa doza
I przecudny wdzięk anioła:
Gdy potrzeba — jest i groza,
I rycerski zapał zgoła.

Staropolską ojców modą
Wśród pokoju, czy w czas walki,
Żywo, zwinie hufiec wiodą...
Kto? A juści, że kapralki.

Jako wicher leśne drzewo:
Zosie, Stasie, Manie, Antki
Z Józią, Hanką, Ksawcią, Ewą
Tak porusza głos sierżantki.

Wcięty stan i kształtne łono,
Marsz porusza w takt spódniczki...
Oczy ogniem czynu płoną
Na głos panny porucznicki.

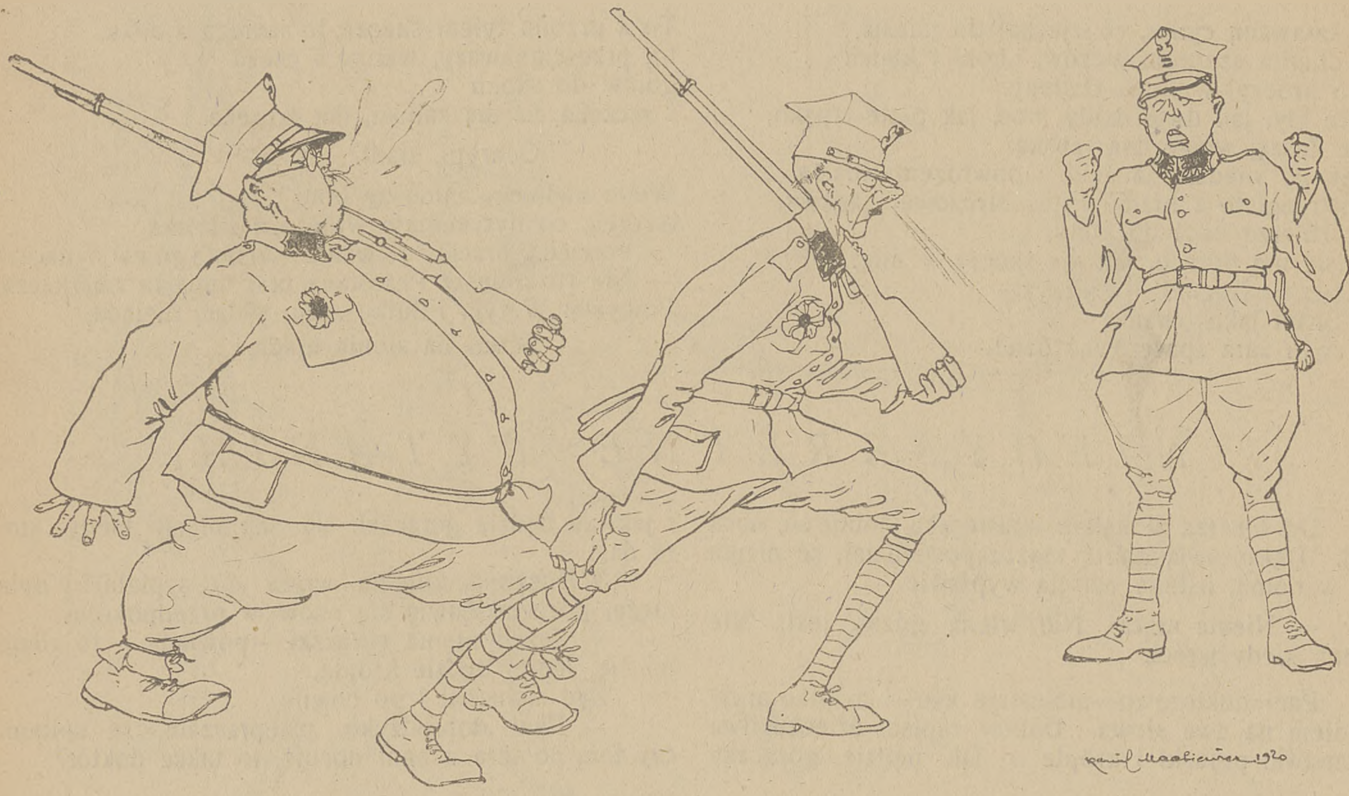
Nie straszą ich strzały wraże,
Ani huk z ciężkiego tanka;
Pójdą w ogień, skoro każe
Imość panna kapitanka.

Na ćwiczeniach... to nie wadzi...
Pcha do paki, jak do worka,
(Właśnie fakt się zdarzył Jadzi)
Zawsze baczna tu majorka.

Lecz wypadek to zbyt rzadki,
Służba nie żart—twarda bywa
Panny, wdówki i mężatki —
Każdą miłość Polski wzywa.

Zrób na baczność im, legunie,
Wypręż pierś i podnieś głowę,
Krzyknij: Vivant nam siostrunie!
Koleżanki legjonowe!

Z PRZEJŚĆ OCHOTNIKÓW.



— Równo, sakramenckie ofermy! Takiś pan uczony, a nie rozumiesz, jak do pana po polsku mówią.

A ONI IDĄ.

Słuchajta, ofermy i bażanty jedne. Kuferki onych wschodnich psich par krzynkę przycichły, maszynki bolszewickie, kozia ich dola, zęby nadłamały, to usiądziewa se w okopie i cosik wam opowiem:

Straśnie się rozezłował Trockij, baby Jagi przyrodni brat, i zabożył się, jako pokaże Polsce, co to on potrafi.

Zaś stara wiara z karabina pyka, z maszynek bzdryka, z armatów im podarunki posyła.

Tedy zgonił ichni centrogenerał różnych dzikusów, posadził na szkapy karawaniarskie i pedo:

— Syp na Polaka, towarzysz, nie pytaj, ino syp!

Zaś na pomoc zatraconemu leguństwu ochotniki polskie walą a walą.

Carowi bolszewickiemu ślepia się rozjątrzyły, zacisnął pięści, niby z zawziętości, zgryzł zębiskami doletnią wesz i zakomenderował:

— Biery ich sukinsyn, towaryszcz!

A temczasem nasze poborowcy idą, a ochotniki idą, a kosinierzy idą, a jazda partyzancka idą a idą.

Tedy Trockij zaczon swoje siły obliczać.

— Jak mi sił nie stanie, — powiada — to wielgi feler może z tego wyjść—powiada—choroba z taką robotą. Lanie weźmiem cy co, bo tych polaków — powiada — sypie się jak morowego powietrza. Możeby tak udrać aboco?

A tu ci nowe polskie ochotniki idą, a poborowe idą, a partyzanty idą, a kosinierzy idą..

Jeno że znowuj zaczeni się, takiesyny, na froncie ruchać, to chodźwa strzylać a reśtę wam inszym razem dopowiem.

PREZENTOWANIE BRONI.

Na postoju we wsi.

— Strasznie mi się gruszki podobają, co rosną w tamtym sadzie.

— To czemu ich nie rwiesz?

— Chciałem, ale jak tylko zbliżam się do sadu, zaraz gospodarz mi prezentuje broń.

— A skąd on ma karabin?...

— I! jaki tam znów karabin?... kij sękaty...

FRONT WARZAWSKICH LALUSIÓW.

U Lursa.

— Panie kelner, czy nie było tu takiego wysokiego blondyna ze znaczkami białego i czerwonego krzyża na piersi.

— Owszem, był. Poszedł na front.

— Co?... Gdzie?... Na jaki front?!

— Niech się pan dobrodziej nie przeraża. To tylko na werandę.

F I L U T E K.

(BAJKA PODŁUG KRYŁOWA),

Za karawaną cyrku, co zjechał do miasta,
Za długim sznurem wozów, i koni i klatek
Słoń kroczył wzrostu chałupy.
Białe kły, jak dwie dzidy, nos, jak piąte łapsko,
lecz duszę, widać, ma rabską:
człek go wiedzie za ucho i powrozem chlasta.
Spostrzegł to z bramy Filuś, stróżowej gagatek.
Jak zbierze nogi do kupy,
jak się nie porwie, jak nie skoczy w mig...—
Dognał i w krzyk:
— Cham jakiś, cham;
Ja ci tu zara spacerować dam!
To z przodu tyłem skacze, to zabiega z boku,
to, prześcignąwszy, waruje i czeka
gotów do skoku
i szczeka, aż się zanosi, tak szczeka.
Ochrypł, siadł.
Wtem nadbiega młodszy brat,
Azorek, co dyszkantem wtórował zdaleka.
— Powiedz, bracie—powiada—co twój gniew oznacza?
— Nie rozumiesz? Przestaną brać mnie za smarkacza.
Pomyślą: W tym Filutku moc, widać, nielada,
Skoro na słonia ujada,

N I E D Y S K R E T N E P Y T A N I A.

Do lekarza w małem miasteczku dobija się nocą żyd. Doktorowa, której mąż zapowiedział, że niema go w domu, usiłuje natręta wyprawić.

— Niema męża. Nie wiem, gdzie, jest. Nie wiem, kiedy wróci.

Pani doktorowo—molestuje żyd—ja tylko przyszedłem na dwa słowa. Doktor zapisał dziecku dwa lekarstwa: proszki i krople — jak będzie gorączka i jak nie będzie gorączki. Ja zapomniał kiedy które dać.

Wzruszona kobieta wraca do sypialni i pyta męża, poczem zjawia się znów w przedpokoju.

— Jeżeli niema gorączki — powiada — to zdaje mi się, lepiej będzie krople.

Żyd wsłuchał i po chwili:

— Pani dobrodżyko, psiepraszam, że spitam: czy ten, co tera u pani nocuje, to także doktór?

MIŁOŚĆ NA BIWAKU.

— Oj kocham cię, dziewczyno,
Że aż mnie w boku spiera!
— To choć-że, panie żołnierz,
Doiłam krowy tera.
— Poszedłbym z tobą chętnie
I popił kwartę mleka,
Jeno mnie z kapuśniakiem
Na mięsie, insza czeka.

ODCIĄŁ SIĘ.

Spekulant, robiący świetne interesy, spotyka bankruta, któremu pękł pasek płócienny.

— Jakto?—mówi, udając, że nie wie o tarapatach kolegi—pan nigdzie w tym roku nie wysłał żony na lato? Moja siedzi w Zoppot, doskonale się bawi...

— W tym roku — odpowiada tamtem z tajoną wściekłością—ja z moją żoną romansuję sam.

ZROZUMIAŁA.

— Bardzo się w długim marszu zmachałem, przytem jestem wściekle głodny. Co tam, matko, macie do jedzenia?

— Mogę panu żołnierzowi ugotować jajek.

— Przyznam się, że jajek nie znoszę.

— He-he, dyć pan żołnierz nie kura, żeby miał jajka znosić!

LITERAT.

W komitecie mobilizacyjnym związków artystycznych.

— Pan chce się zapisać?

— Owszem, tylko nie wiem, do jakiej sekcji: rzeźbiarskiej, czy literackiej?

— A co pan robi?

— Ja, panie, wykuwam litery na pomnikach.

ZNALAZŁ.

Kozak, wróciwszy z wywiadu, wyładowuje kieszenie. Śród rozmaitych wysypanych przedmiotów koledzy spostrzegają kilka złotych zębów.

— A to skąd u ciebie?—pyta starszy.

— Nu, ot, znalazł.

— Znalazł? Gdzie znalazł?

— At, prosto: w gębie u jewrejki.

Z A R O B E K.

— Panie dorożkarz, ile za kurs do kolei Wiedeńskiej?

— Pięćdziesiąt mareczek.

— Dziękuję.

— No co? Siadasz pan?

— E, nie. Chciałem się tylko dowiedzieć, ile zarobię, idąc pieszo.

S M A C Z N E G O!



BOLSZEWIK: To u was jeść dają? Boże mój! A u nas tylko wszy suszone krasnoarmiejec gryźie.

PRZED PLAKATAMI.

— Patrz-no, mój drogi, na jednej odezwie napisano: „Idź na front", a na drugiej: „Stać na miejscu".

— Doskonale!

— Co w tem widzisz doskonałego?

— Ano, doskonale, bo czy pójdziesz na front, czy pozostaniesz w Warszawie, zawsze będziesz bohaterem.

MARYNARZ.

— Jakto, pan jeszcze nie w mundurze? W pańskim wieku, przy pańskiem zdrowiu?...

— Hm, widzisz pan, ja się ani do piechoty, ani do konnicy nie nadaję... Czekam, aż będą formowali ochotniczą marynarkę wojenną.

— Alboś pan marynarz?

— Naturalnie! Należałem do Towarzystwa Wioślarskiego.

ANTEK—BOLSZEWIK.

— Wiesz? Przekonałem się, że Antek jest bolszewik.

— Zwarjowałeś?... Ma własny sklep, doskonale paskuje...

— Co to znaczy! Wczoraj złapałem go in flagranti z moją żoną.

— No więc, co to ma jedno do drugiego?

— Jakto co! Najwidoczniej jest zwolennikiem socjalizacji kobiet.

ZMARTWIENIE NASZYGH KOMUNISTÓW.

— Jak pan sądzi, czy istnieją u nas warunki do powstania rad robotniczych i żołnierskich?

— Nie sądzę.

— Dlaczego?

— Bo przedtem potrzeba zdrad robotniczych i zdrad żołnierskich, a w Polsce jakoś na to się nie zanosi.

CO MOWI ŁAZIK!

Powiadają u nas, że przed bolszewikami panowie ino ucikają, a chłopy nie, bo im ma być przy tych sowdepach dobrze. Ano, myśle sobie, możeby tak popróbować tej dobroci, bo na to łazik łazikuje, żeby mu lepiej, niż jenszym było, a nie gorzej.



Nie bede wam dużo gadał, jakem sie bez front prześmuglował, szkoda gęby. Tylko powiem, żem we štyry dni daleko od naszych odmasierował i nalozem się w taki jedny wsi, gdzie żywych bolsieków ludziska na własne rodzone ślipia widzieli i rozmaitych jeich leformów ślady na skórze wypisane mieli.

Ano, pytom jednego, drugiego... Pedają tak:

Wywiesili ci malowanki, naród się gapi, a jeden taki gitator od gitary zawracanie mówi: patrzajta-no, ludzie, jak to woma dobrze tera bandzie. Cała ziemia nasa. Jak nasa, to nasa! Co se któren upatrzył, to wzion ogradać, że jego. Jeden Matwiej to aż do drugiej wsi polaz, bo mu się tamu kawałek łąki udał. Ino że go tamtejsi gospodarze pośniaczyli i bez to nazad wrócił.

Żyto rośnie, pszenica rośnie, ceny rosną... Ludziska się radują. Syćko nase—pedają i pilnują, żeby się dziedzic nie zbuntował i nie wrócił.

Żyto pożółkło, pszenica wziena się sypać, kartofle okwitły. Wychodzą chłopy w pole z kosami, sierpami. Az tu ci naraz przyjeżdża komisar i pyto, niby kudy lezą? Ano zbirać.

— Zbirać?... Ehe!—śmieje się.—Zbirać bedzieta, ale pod mojem okiem.

— Niby jakto? Dyć ziemią nasa.

— Jo tyz mówię: nasa, narodna, znaczy komisarska. Możeta zbirać, ino ze ja do stodoły zamkne.

— Niedocekanie twoje, taki owaki!—krzyczą.

Coś mu tam niepolitycznie powiedzieli i kijoskami troche pomachali... Obraził się, krasnogwardiejców zawołał, kazał gospodarzy powiązać i pyta: bedzieta się słuchali?

Któren nie powiedział odrazu, że bedzie, to mu krasnogwardziejcy pośladki oporządzili, no i co było robić? Gospodarze przystali.

Wtedy komisar dopuścił ich do żniwa. Zebrali, co rosło na dworskich gruntach, a on ziarno wywiöz, kartofle wywiöz i pedo: tera zbirajta ze swoich.

Chłopy zbirają, a on dalej z krasnogwardziejcami nad karkiem stoi i pilnuje.

— Cego tu jeszcze chcesz?—pytają.

— Pilnuję, żebyśta czego nie ukradli.

— Co mamy ukraść! Dyć nasze.

— Nasze! Ja tyż mówie, że nasze.

— Niby jakto?

— Komisarskie.

— A to co takiego?—wołają.

— To je kumuna—mówi.

— Bodaj cie cholera z taku kumunją!

Więc, jako że zbluźnili znok ich kazał krasnogwardiejcom knutami przerachować i dopiero nastała zgoda.

Odtąd gospodarze razem z parobkami na dworskich i nie dworskich gruntach pod okiem krasnego okomuna robią: co zbiorą, kumisarz zamyka, a chłopom sam mąkę wydziela, kartofle wydziela, syćko za paśportami w torebkach i potrosecku.

Syćkie krowy do jednej obory z całej wsi spędził, syćkie konie do jednej stajni zegnał, byczki na mięso krasnogwardiejcom oddał, inno jednego komisarskiego buhaja w czerwone łaty ostawił. Sam tyż po chałupach tera byczkuje, bo powiedo, że i baby także samo wszystkie nase, znacy komisarskie.

Taka to jeich sowdepska komunja. A kto nie twierzy, niech te ścierwa do Polski puści, to się przekuna najlepiej.

JUŻ SIĘ BIJE.

— Widzisz, Antek już się bije na froncie, a ty?

— Ja też biję się właśnie...

— Gdzie? Z kim?

— Biję się z myślami: iść do wojska, czy nie iść!

NIE CIESZ SIĘ JESZCZE, CZECHU Z KARWINY,
PÓKI NIE PRZYJDZIE KARA ZA WINY.

SĄ NA TY.

— Czy znasz generała Szrapnelskiego?

— Doskonale! Jesteśmy nawet na ty.

— E, nie może być!...

— Jak Bozię kocham! Wczoraj przy wszystkich powiedział mi: ty ośle jeden.

*

Zmobilizowany bracie,
co tu wiecznie wiecznie tkwisz przy stole,
świat z podziwem patrzy na cię,
jak odważnie ruszasz w pole.

UNARODOWIENIE ZIEMI.



Cóż ty, durak, myślał, że ziemia będzie twoja? Ziemia narodna, znaczyt komisarska.

SPOCONE TYŁY.

Na jednym z plakatów Wielkopolskich, zachęcającym do gorliwego służenia Ojczyźnie tak na froncie, jak i na tyłach, czytamy:

— Front daje krew!... Tył daje pot!

Bodaj to Wielkopolska! W Warszawie tył daje zupełnie coś innego.

POLSKIE PANY.

Do wioski białoruskiej przybył oddział krasnoarmiejców. Zatrzymał się przed chatą na widok baby, skrobiącej kartofle.

— Widzieli wy! — odzywa się starszy—jakie to wszystko burżuje te polaki... Kartofle przed jedzeniem skrobią.

NALEPSZY DOWÓD.

— Czy możliwe, żeby bolszewicy nawrócili litwinów na swoją wiarę?

— Naturalnie, że możliwe. Już im przecież oberżnęli Wilno.

ŁAZIK.

— Co tam tak gnieciesz w palcach?

— Łazika.

— Jakiego znów łazika.

— Ano, dekował mi się, choroba, za kołnierz.

PECHOWIEC.

— Czy to prawda, żeś pan taki pechowiec?

— Prawda, panie, prawda! Mnie, jak nawet kamień z serca spadnie, to zleci na odciski.

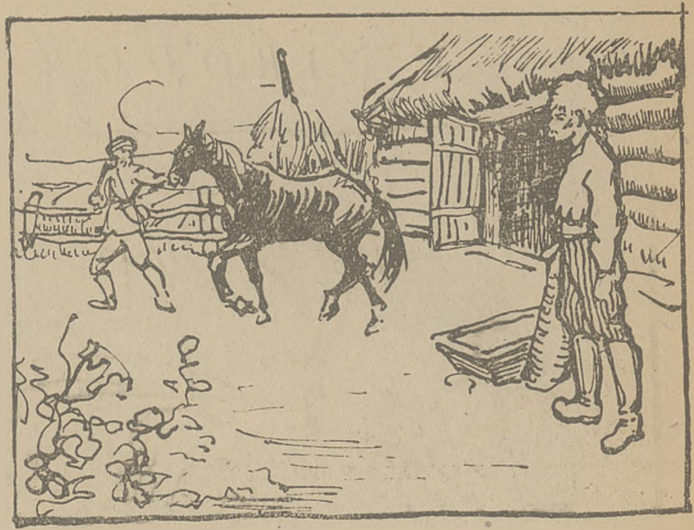
W SZKOLE.

— Głuptalski, odmień przez stopnie przymiotnik: chory.

— Chory... chorzy... trup panie psorze.



Gdy nagle przyszli moskale,
Bartek nie przeląkł się wcale!



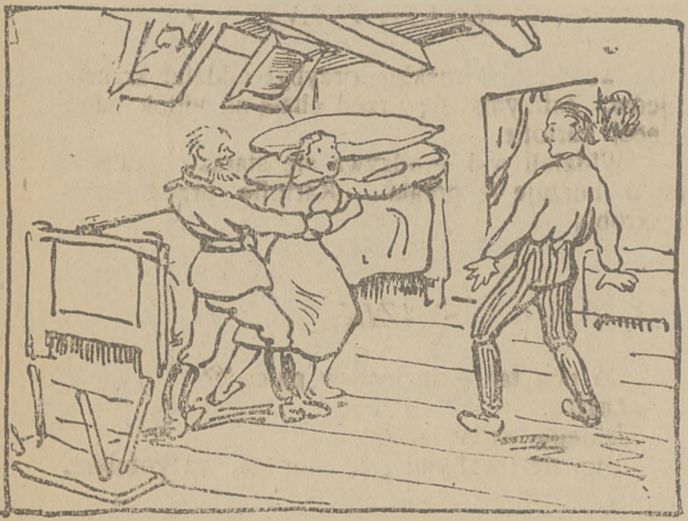
I był dobrej myśli,
chociaż konia mu zabrali.



Biorą zboże? Cóż do djaska!
Takaż bolszewicka łaska?



Zapłakała Bartoszowa:
— Moja krowa!.. Moja krowa!...



Lecz nie koniec tych igraszek:
do Bartkowej wziął się ptaszek.



Tego było już za wiele:
Won z Polski sobacze ziele!

W A R S Z A W A 15-GO SIERPNIA
Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.
Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK"
Druk S. Michalskiego, Warszawa, Chmielna 60